

Bolesław Balcerowicz

POWRÓT SIŁY

Teorie o zdecydowanie zmniejszającej się roli siły militarnej w stosunkach międzynarodowych, znajdujące do niedawna szerokie grono zwolenników, ożywione doświadczeniami przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku, dziś już mają niewielu wyznawców. Wydarzenia przełomu wieków brutalnie je weryfikują. Nie nadszedł koniec historii, nie nastąpił koniec geopolityki i geostrategii; geopolityki nie wyparła geoeconomika. Wbrew prognozom, po świecie nie krąży widmo pokoju i demokracji. Nie zostały zmarginalizowane role i funkcje sił zbrojnych. Siły zbrojne okazały się w nowej rzeczywistości instrumentem użytecznym w polityce państw, w kształtowaniu środowiska bezpieczeństwa i stosunków międzynarodowych. Ciąg zdarzeń zaistniałych w ostatnich latach sprawia, że dziś zarówno realisci, jak i idealisci zgodni są co do tego, że siła stanowi stały element regulacji stosunków międzynarodowych. Zmienia się natomiast znaczenie tego czynnika, jego waga.

O znaczeniu siły najdobitniej świadczą fakty. Spośród zdarzeń, które przyniósł nam rok 2006, odnotować koniecznie trzeba: trwającą i narastającą destabilizację – chaos w Iraku, odbudowę państwa afgańskiego, hybrydową wojnę w Libanie, doświadczenia z bronią jądrową w Korei Północnej i Iranie oraz najnowszy przejaw wojny z terroryzmem – operację wojsk etiopskich w Somalii. W statystykach SIPRI odnotuje się 17–18 większych konfliktów zbrojnych, w statystykach ONZ prawie 60 operacji/misji pokojowych. Do tego dodać trzeba niektóre dokumenty, m.in. nową *Strategię Bezpieczeństwa Narodowego USA*, nową *Narodową Politykę Kosmiczną*, a także postanowienia „szczytu” NATO w Rydze.

Te oraz inne wydarzenia wpisywały się bardziej lub mniej jednoznacznie w pewne procesy bądź te procesy w jakiś sposób ujawniały. W refleksji nad minionym rokiem warto więc może poświęcić nieco miejsca identyfikacji owych tendencji. To dobra okazja do postawienia sobie pytania o dynamikę ewidentnego powrotu siły w stosunkach międzynarodowych; do zastanowienia się, czy to tendencja stała, epizod czy może powrót do normalności. Warto zatrzymać się i ocenić pojawiające się objawy wyścigu zbrojeń, a także pewne symptomy przesilenia w tempie zbrojeń.

Tak jak w latach poprzednich, **Irak** w roku 2006 pozostał w centrum uwagi. Trzy lata po ogłoszeniu w stylu hollywoodzkim zwycięstwa, w Iraku rzeczywistego końca wojny nie widać. Co prawda w raportach Pentagonu starć zbrojnych w tym kraju nie określa się terminem „wojna”, ale zgodnie z kryteriami SIPRI toczy się tam „większy konflikt zbrojny”, czyli wojna właśnie. Skalę konfliktu mierzy się głównie stratami; straty amerykańskie w ubiegłym roku przekroczyły 800 zabi-

tych żołnierzy. Straty amerykańskie liczy się w sztukach, straty irackie się szacuje w setkach, tysiącach, dziesiątkach tysięcy. Sytuację w Iraku trudno zaszeregować do jednej, klasycznej kategorii znanych z przeszłości zdarzeń. Do jej opisu używa się najczęściej słowa „chaos”, co bardziej odpowiada potrzebom dziennikarstwa czy publicystyki aniżeli rzetelnej analizie strategicznej. Irak znalazł się na krawędzi wojny domowej, choć właściwie bez większego ryzyka można mówić, że wojna domowa obejmuje już znaczną jego część. Równolegle w kraju tym toczą się działania na progu wojny partyzanckiej i partyzancko-terrorystyczne ataki przeciwko wojskom okupacyjnym. Na to nakłada się zorganizowana przestępczość. Nie ma dziś siły, która byłaby w stanie nad tymi trzema zjawiskami zapanować. Nie stanowi jej na pewno rząd iracki, który praktycznie nie wychyla się poza chronioną przez Amerykanów „strefę zieloną”. Sytuacja w Iraku w minionym roku, zamiast się poprawić, wyraźnie się pogorszyła. Przyznaje to nawet opublikowany w grudniu raport Pentagonu. Wyraźnie wzmożła się aktywność różnego typu grup zbrojnych, wzrosła liczba ataków na wojska USA, sojuszników oraz na wojska i organa rządowe. Najbardziej niebezpieczną siłą w Iraku stanowi już nie Al-Ka’ida – jak można przeczytać we wspomnianym raporcie, lecz szyicka milicja Muktdady as-Sadra. Tym samym Pentagon pośrednio przyznaje, że wojna z terrorystami (terroryzmem) w Iraku schodzi na dalszy plan.

Amerykanie, wypełniając misję stabilizacyjną, faktycznie Irak okupują. W przeszłości wojska okupacyjne w warunkach zarzewia konfliktu wewnętrznego (wojny domowej) spełniały zbawienną funkcję katalizatora, nawet kosztem skupienia na sobie wrogości narodu. W Iraku jest jednak inaczej. Po trzech latach okazuje się, że wojska okupacyjne (stabilizacyjne) nie są w stanie tej roli sprostać. Jedną z wielu przyczyn tego stanu jest zapewne zbyt mała liczebność kontyngentu. Taki wniosek uwiarygodniają m.in. doświadczenia brytyjskie z czasów kolonialnych czy nowsze, nabyte po II wojnie światowej. Należałoby zatem ze zrozumieniem przyjąć koncepcję istotnego zwiększenia amerykańskiego zgrupowania. Sprawa byłaby względnie prosta, gdyby nie to, że w Iraku toczy się wojna partyzancka, a nawet wojna ludowa przeciwko wojskom obcym. Takie wojny rzadko się wygrywa, a na pewno nie wygrywa się ich szybko. Trudność w opanowaniu sytuacji potęguje fakt, że ta wojna toczy się w sprzyjającym dla przeciwnika Amerykanów terenie, porównywalnym z wietnamską dżunglą – w miastach, w dżungli miejskiej. Ta okoliczność wydatnie obniża szanse sukcesu armii amerykańskiej.

W Iraku nie mamy do czynienia z kompleksem problemów, które można załatwić jednym, dobrym, ostrym narzędziem; to nie węzeł, który jednym cięciem miecza rozwiązał Aleksander Macedoński. W Iraku strategia oparta na nadmiernej wierze w skuteczność siły ponosi fiasko; naga (lub – zbyt naga) siła okazuje się tu trochę bezsilna. W Iraku Amerykanie wraz ze swoimi koalicjantami pobierają kosztowną lekcję. Być może zaowocuje ona przemianą świadomości, być może przyczyni się do przesilenia w traktowaniu siły, do odczarowania nadmiernej wiary w jej skuteczność.

Afganistan od początku „wojny z terroryzmem” pozostaje stałym zagadnieniem bezpieczeństwa. Od pięciu lat Amerykanie z paroma koalicjantami prowadzą tu

przeciwterrorystyczną, przeciwdywersyjną, przeciwpartyzancką operację wojskową „Enduring Freedom”. To dość rzadki przypadek długotrwałości, by nie powiedzieć długowieczności jednej operacji o charakterze wojennym. Początki, jak pamiętamy, były obiecujące. Jednak poczucie zwycięstwa, radość po pierwszych sukcesach – błyskawicznym rozbięciu regularnych sił talibów – nie trwało zbyt długo. Przedwcześnie okazały się nadzieje na odbudowę państwa. Miał to być modelowy przykład udanej rekonstrukcji i przywrócenia państwa społeczności międzynarodowej. W rzeczywistości z Afganistanu dochodzą wieści niepokojące; końca operacji przeciwpartyzanckiej nie widać, stan bezpieczeństwa się nie poprawia. Najdobitniej świadczy o tym fakt, że konferencje na temat przyszłości tego kraju odbywają się z dala od jego terytorium.

Od pięciu lat (pod dowództwem NATO od trzech), równoległe do działań bojowych, w Afganistanie prowadzi się operację pokojową – operację odbudowy państwa. W roku ubiegłym cały ciężar misji odbudowy połączonej ze zwalczaniem partyzantki zaczęło przejmować na siebie NATO. Wykonalność tej skomplikowanej misji obciążona jest wieloma znakami zapytania. Mamy tu bowiem do czynienia z sytuacją bez precedensu, z eksperymentem na dużą skalę. Po raz pierwszy w historii organizacja polityczno-**wojskowa** podejmuje się złożonej operacji o dużym rozmachu, operacji bardziej niewojskowej niż wojskowej. Ewidentne słabości tego przedsięwzięcia to brak precyzji w sprawowaniu kierownictwa politycznego oraz niejasności w kierowaniu i dowodzeniu strategicznym. Bez większego ryzyka można przewidywać, że wykonalność misji spadnie w pobliże zera wtedy, gdy wojska Sojuszu zaczną być postrzegane w kategorii okupantów. Im dłużej będą w tym kraju przebywać, tym większe jest prawdopodobieństwo, że tak właśnie się stanie.

Do dzisiaj brak odpowiedzi na pytanie: ilu żołnierzy potrzeba dla osiągnięcia zakładanych celów misji? Kontyngent liczący 32 tys. osób wygląda bardziej niż skromnie. To może nie wystarczyć. Na pewno zaś nie wystarczy wtedy, gdy w Afganistanie wybuchnie wojna partyzancka na większą skalę. A ryzyko jej wybuchu jest niemałe ze względu na poważny potencjał, który tworzą m.in. kultura, ideologia (religia), tradycje walki, umiejętności walki z obcymi. Pewien „wojennogeny” potencjał tkwi też w wojskach koalicji. Aby się o tym przekonać, wystarczy przypomnieć aroganckie zachowania żołnierzy, niezbyt rozważne postępowanie wobec mieszkańców tego kraju, nie wspominając o omyłkowych bombardowaniach obiektów cywilnych. Warunkiem podstawowym osiągnięcia sukcesu w Afganistanie jest rozważne, umiarkowane używanie siły – ta kanoniczna zasada strategii.

W połowie roku 2006 w geopolitycznej grze z siłą jako atrybutem przypomniiała o sobie **Korea Północna**. Przypomniiała też, że zimna wojna na Półwyspie Koreańskim się nie skończyła; że rozmieszczone tam wojska obowiązują zapomniane u nas reżimy gotowości bojowej i związane z nimi uciążliwości. Korea Północna – jeden z uczestników tej wojny – staje się posiadaczem broni jądrowej. To może oznaczać zmianę stosunku sił i być kolejnym impulsem do regionalnego wyścigu zbrojeń. Reakcja sąsiadów na przelot północnokoreańskiej rakiety *Taepo Dong* nad terytorium Japonii w 1998 roku daje wiele do myślenia. Japonia przystąpiła wówczas niezwłocznie do budowy systemu przeciwrakietowego (razem z USA), Korea

Południowa zwiększyła swój budżet obronny. Po próbach dokonanych przez reżim Kim Dzong-ila ryzyko użycia broni jądrowej niewątpliwie wzrosło. Na to ma lub może mieć istotny wpływ perspektywa słabnięcia pozycji tyrana, reżimy totalitarne w obliczu upadku bywają bowiem nieobliczalne. Wzrosło też zagrożenie proliferacją broni jądrowej.

Użycie siły przeciwko Korei Północnej w postaci regularnej operacji wojskowej, bez względu na zagrożenie dla bezpieczeństwa, jakie ona stanowi, jest jednak mało prawdopodobne. Zbyt wielki panuje strach przed koszmarem ewentualnej wojny – potencjał chaosu, potencjał partyzancki jest w tym kraju zbliżony do irackiego; dochodzi do tego realne prawdopodobieństwo zastosowania przez reżim broni masowego rażenia. W obliczu pewnej militarnej bezradności wobec poczynań reżimu dość sensownie wygląda koncepcja „nowego odstraszenia” (nuklearnego), wciąż jednak bardzo ogólnikowa.

W urzeczywistnianiu aspiracji **Iranu** do roli mocarstwa regionalnego coraz większą rolę odgrywa siła. To państwo konsekwentnie zmierza do wejścia w posiadanie broni jądrowej. Dysponując solidną armią i znacznym potencjałem konwencjonalnym, swoją pozycję na Bliskim Wschodzie Iran buduje na wszechstronnym wspieraniu wojującego z Izraelem Hizb’ullahu. Poczynania Iranu wydatnie zwiększają ryzyko regionalnego wyścigu zbrojeń zarówno w wymiarze konwencjonalnym, jak i jądrowym. Wskazuje na to m.in. zainteresowanie opanowaniem technologii nuklearnych (dla celów – oczywiście – cywilnych) wyrażane ze strony Arabii Saudyjskiej i Egiptu, a także Algierii i Maroka.

Wśród koncepcji rozwiązania problemu Iranu ważne miejsce zajmują opcje militarne. Spośród kilku scenariuszy najbardziej prawdopodobny miałby zakładać zniszczenie instalacji służących badaniom i produkcji energii jądrowej. Prototypem operacji miałby być przeprowadzony 20 lat temu przez Izrael atak na iracki Ozirak. W Iranie rzecz jest jednak bardziej złożona; nauczeni irackim doświadczeniem Persowie zdecydowali „nie wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka”, czyli swoje instalacje rozproszyć i odpowiednio zabezpieczyć. O innych wojskowo-wojennych scenariuszach działań z dużym rozmachem trudno dziś realnie myśleć. Wygląda więc na to, że wzrost siły Iranu trudno będzie powstrzymać siłą.

Stale obecny, tłący się konflikt na Bliskim Wschodzie przerodził się na jeden miesiąc w **wojnę państwa Izrael przeciwko organizacji Hizb’ullah**. Izrael, który łatwo wygrywał kolejne wojny z państwami arabskimi w Libanie, nie najlepiej radził sobie z Hizb’ullahem, nie potrafił powstrzymać go od wystrzelenia setek rakiet, okazywał bezradność wobec dobrze przygotowanej, nielicznej organizacji zbrojnej stosującej nowoczesne, partyzanckie metody walki. Istotne znaczenie w tej wojnie miało wsparcie dla Hizb’ullahu ze strony Syrii i Iranu. W Libanie przez miesiąc toczyła się wojna dalece różna od klasycznej, wojna asymetryczna, wojna – jak pisze K. Kubiak – hybrydowa.

Rezultaty tej wojny trudno ocenić jednoznacznie. M. van Creveld uważa, że zrujnowała ona Hizb’ullah. Nie brak też ocen krańcowo różnych, według których Hizb’ullah nie tylko nie dał się zniszczyć, lecz wyszedł z tej wojny wzmocniony, silniejszy niż kiedykolwiek. Weryfikacja tych sądów wymaga czasu. O rezultatach

wojny może świadczyć trwająca w Izraelu do dziś krytyka jej koncepcji i wykonania wobec kierownictwa państwa i dowództwa sił zbrojnych. Izrael posiadał i nadal posiada możliwości zajęcia całego terytorium Libanu, może z powodzeniem odnieść sukces w klasycznych operacjach wojskowych. Szans na zagospodarowanie zwycięstwa wojskowego jednak nie ma. Zwycięstwo samo w sobie stanowi wielką pokusę; zwycięstwo w walce bez możliwości jego zagospodarowania łatwo obraca się w klęskę.

Największym przegranym w tej wojnie pozostał Liban; formalnie w niej nie uczestnicząc, poniósł straty nie tylko w ludziach i w infrastrukturze. Największym wygranym okazał się zaś Iran. Bez jednego strzału i bez strat wyrósł w Libanie na pierwszoplanowego, wpływowego gracza. Ucierpiał kontyngent wojsk ONZ – UNIFIL; był bowiem bezsilny. Do pozytywnych skutków tej wojny można pewnie zaliczyć dość zdecydowaną reakcję społeczności międzynarodowej, głównie Europy – decyzję o wysłaniu silnego kontyngentu wojsk i wzmocnieniu (zwielokrotnieniu) sił pokojowych UNIFIL. Przewodzą w tym wysiłku państwa europejskie: Włochy (2200 żołnierzy), Francja (1600), Hiszpania (1280), Niemcy (900). Tak duże zaangażowanie wojskowe w konflikt na Bliskim Wschodzie społeczności międzynarodowej (Europy!) może napawać optymizmem. Pozostaje oczekiwanie na skuteczny wysiłek polityczny.

Do aktywnych uczestników wojny z terroryzmem dołączyła w ostatnich dniach ubiegłego roku Etiopia. Dobrze – jak na tamtejsze standardy – wyszkolona i wyposażona armia tego kraju praktycznie bez oporu zajęła stolicę **Somalii**. Jej przeciwnik – talibowie, został z zajętych terenów wyparty bądź rozproszony. Sukces w militarnej operacji z dyskretnym, ale istotnym udziałem Ameryki przyszedł niespodziewanie szybko. Nie nadeszła jednak jeszcze pora na ogłoszenie definitywnego zwycięstwa. Nieprędko bowiem da się zbudować w Somalii państwo rządne, z własnymi efektywnymi strukturami i własną rządową armią. Szybkie wycofanie islamistów z Mogadiszu nie powinno uspokajać. Podobna była sytuacja w Afganistanie, podobnie zachowali się żołnierze Saddama. Prawdziwy, uciążliwy opór nastąpił tam później; opór zbrojny trwa tam już latami. Realnie rysuje się analogia – w Afganistanie i Iraku nowa władza może utrzymywać się dzięki obecności obcych wojsk, amerykańskich i sojuszniczych; w Somalii – na razie etiopskich. Zapowiadana przez przywódców Unii Trybunałów Islamskich wojna partyzancka może przybrać niebawem realny kształt.

Od ogłoszenia **wojny z terroryzmem** minęło pięć lat. Ta wojna („wojna”) trwa, choć słychać często głosy, że można już ogłosić jej zakończenie. Wszak główny przeciwnik – Al-Ka’ida – został dostatecznie osłabiony, a talibowie rozproszeni. Al-Ka’ida poniosła ciężkie straty w ludziach, poważnie nadwerżone zostały jej struktury dowodzenia, organizacja straciła źródła zasilania i dawną swobodę działania. W istocie jednak te efekty „wojny” odnoszą się prawie wyłącznie do samej Al-Ka’idy; uosabia ona co prawda światowy terroryzm, ale na niej zjawisko to się nie kończy. Ekstremizm islamski posługujący się terrorem nadal pozostaje zagrożeniem. W miarę zwarta przedtem sieć terroryzmu islamskiego w efekcie podjętych działań atomizuje się; grupy terrorystyczne autonomizują się – siła terroryzmu nie tyle zanika, ile ulega rozproszению.

Wojnie z terroryzmem stale przewodzą Stany Zjednoczone, które biorą na siebie lwią część jej ciężaru. W koncepcji amerykańskiej walki z terroryzmem wciąż dominuje militarystyka i jak można odczytać z kolejnych Przeglądów Obronnych (QDR), a szczególnie nowej *Strategii Bezpieczeństwa Narodowego*, ten stan rzeczy na razie raczej się nie zmieni. Działania wojskowe w zwalczaniu terroryzmu mają oczywiście swoje znaczenie, choć, jak uczy doświadczenie, wojsko często podczas nich stwarza więcej problemów, niż rozwiązuje. Dzieje się tak w Iraku, gdzie wraz z przedłużającym się pobytem wojsk amerykańskich, szczególnie po podjęciu przez nie działań pacyfikacyjnych, wzrasta odsetek ludności popierającej zamachy na Amerykanów. Obecnie wynosi on ponad 70%. Podobne nastroje, choć na razie w innej skali, narastają w Afganistanie.

Rekordową liczbę uczestników **operacji pokojowych**, jaką odnotowano w ubiegłym roku, można potraktować jako symptom renesansu tego szczególnego mechanizmu utrzymywania i kształtowania bezpieczeństwa. A operacje pokojowe stały się ważnym instrumentem utrzymywania pokoju z początkiem lat 90.; przeżywalimy wtedy okres pewnej fascynacji nimi. To był czas ich ilościowego i jakościowego rozwoju. Po tradycyjnych, pasywnych misjach ukształtowały się operacje drugiej i trzeciej generacji; operacje dynamiczne, o zwiększonym zakresie funkcji, rozmachu, zróżnicowanym personelu. Obecnie najwięcej uwagi poświęca się misjom i operacjom odbudowy. Taką operację, i to na dużą skalę, prowadzi się w Afganistanie. Doświadczenia wynoszone z niej, a także z operacji podobnych uczą, że w złożonym procesie odbudowy/budowy państwa niezwykle ważną rolę, niekiedy wręcz kluczową, odgrywa siła militarna. Bez solidnej osłony wojskowej, zapewnienia określonego poziomu bezpieczeństwa, inne działania skazane są z reguły na niepowodzenie. Bez takiej osłony nietrafiona lub niemożliwa jest też zorganizowana pomoc, w tym pomoc humanitarna. Nie bez kozery w procesie odbudowy państwa bardzo wysoką rangę nadaje się budowie struktur siłowych, sił zbrojnych. Zapotrzebowanie na siłę we współczesnym świecie jest wyraźnie odczuwalne, jest to jednak w znakomitej mierze zapotrzebowanie na ich niekoniecznie *stricte* wojenne użycie.

Do rejestru ważnych wydarzeń z dziedziny strategii trzeba zaliczyć ogłoszenie w Stanach Zjednoczonych dwóch dokumentów: nowej *Strategii Bezpieczeństwa Narodowego* oraz *Nowej Polityki Kosmicznej*.

Nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego znalazła mniejszy oddźwięk niż jej poprzedniczka z roku 2002. Może dlatego, że nie wnosi przełomu, lecz stanowi kontynuację zarówno w stylu (sztabowo nie najdoskonalszym), jak i w treściach. Charakter tego dokumentu, jego ducha wyrażają i determinują dwa pierwsze zdania: „Ameryka jest w stanie wojny. Jest to wojenna strategia bezpieczeństwa narodowego”. Z dokumentu przebija fascynacja „bezprecedensową i nieporównywalną” siłą USA i nieskrywane zamiary jej wykorzystywania. Ameryka nadal przyznaje sobie (i tylko sobie) prawo do wyprzedzającego użycia siły. Przyznaje sobie w dalszym ciągu, używając już nieco łagodniejszej retoryki, prawo do posługiwania się siłą militarną z obchodzeniem prawa międzynarodowego. Odwrotu siły, przesilenia

w zakresie jej stosowania, dokument ten na pewno nie zapowiada. Pozostaje ufać, że amerykańskie fascynacje nie staną się zaraźliwe.

Nowa Polityka Kosmiczna ogłoszona w połowie roku zastąpiła analogiczny dokument z roku 1996. Istotą – myślą przewodnią nowej doktryny kosmicznej jest utrzymanie swobody działania w przestrzeni kosmicznej, niezakłóconego jej wykorzystania dla amerykańskiej obronności. Amerykańskie systemy kosmiczne mają funkcjonować bez jakiegokolwiek obcej ingerencji. Amerykanie wycofują się z wszelkich międzynarodowych porozumień ograniczających swobodę zbrojeń w kosmosie. Dokument nie przyczynia się do wyjaśnienia dwuznaczności dotychczasowej polityki administracji Busha dotyczącej militaryzacji kosmosu. Nie zapowiada wprost rozmieszczenia systemów uzbrojenia w przestrzeni kosmicznej, ale równocześnie przyznaje Stanom Zjednoczonym prawo do zablokowania innym takiej możliwości – a to przecież jest możliwe dzięki broni rozmieszczonej w kosmosie.

Przyjęcie *Nowej Polityki Kosmicznej* – choć wywołało dość niemrawą i mdłą dyskusję o możliwości militaryzacji kosmosu – stanowi dobry krok w tym kierunku właśnie. Z wycofania się USA z kontroli zbrojeń w kosmosie skorzystają przede wszystkim, i to niebawem, Chiny. O wyścigu zbrojeń w tej sferze, przy obecnej dominacji Stanów Zjednoczonych, trudno mówić. Na razie.

Pozostając przy konwencji odnotowywania znaczących zdarzeń roku 2006, należy zapewne wspomnieć o jeszcze jednym – chodzi raczej nie o to, co się wydarzyło, lecz czego zabrakło. Nie zdarzyło się bowiem nic znaczącego na rzecz postępu w **dziedzinie rozbrojenia i kontroli zbrojeń**. Podobnie jak w kilku poprzednich latach zabrakło woli politycznej do praktycznego rozwijania i pogłębiania współpracy w tym obszarze. Stan w dziedzinie kontroli zbrojeń i rozbrojenia można opisać trzema słowami: kosztownie, uwiąd, marginalizacja. Niezaprzeczalne zasługi można tu przypisać administracji Busha, wśród której konsekwentnie triumfuje sceptycyzm – przekonanie, że system kontroli zbrojeń nie zdaje egzaminu, nie pasuje do realiów okresu pozimnowojennego. Skłonności do powątpiewania w jego skuteczność nie towarzyszą nowe, konstruktywne inicjatywy. Zdziwiała natomiast konsekwencja w rozmontowywaniu niechcianego, niewygodnego dla swobody strategicznej spadku po zimnej wojnie. Tu koniecznie trzeba przypomnieć: wypowiedzenie układu ABM, odrzucenie CTBT, wycofanie się z prac nad BWC, pogardliwe potraktowanie konwencji o zakazie min przeciwpiechotnych.

Potrzeba międzynarodowego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń nowej generacji jest rzeczą dość oczywistą. Stare mechanizmy, stare hamulce działają coraz słabiej; nowszych brak. Brak chęci, brak pomysłu.

Nie ma zastoju w **zbrojeniach**, zachodzi tu dynamiczny rozwój. Wydatki wojskowe od 1998 roku systematycznie rosną, a tempo przyrostu może wywoływać zaniepokojenie. W pierwszych latach XXI wieku oscylowało ono w wielkościach 4–10%. W ciągu 10 lat (1995–2005) wydatki w skali światowej wzrosły o 34% (co oznacza średnioroczny przyrost 3,5%). Tak wysokie wskaźniki były charakterystyczne dla znanego z czasów zimnej wojny wyścigu zbrojeń. Liczby są wymowne. Świat znówu się zbroi, a w rozmachu i tempie można dostrzec symptomy wyścigu. O wyścigu zbrojeń, przynajmniej takim, jaki znamy z ubiegłego wieku, na razie trudno mówić.

Tak wysoką dynamikę wzrostu wydatków obronnych można z pewnością usprawiedliwić; tłumaczyć choćby wyczerpaniem się pozimnowojennej „dywidendy pokojowej”. Dywidenda, jak pamiętamy, przekładała się na rozbrajanie – radykalne zmniejszenie armii i sięgające 50% zmniejszenie wydatków. Uczestnikami tego procesu były kraje Europy Zachodniej, państwa byłego Układu Warszawskiego, Stany Zjednoczone. Po prawie 10 latach korzystania z dobrodziejstw dywidendy, na przełomie wieków nastąpił jej kres.

Lwia część obserwowanego wzrostu to efekt polityki **Stanów Zjednoczonych**. Jego rzadko spotykaną dynamikę ilustrują liczby. W roku 2001 wydatki wojskowe USA wynosiły nieco ponad 300 mld USD, w roku 2003 już ponad 400 mld, by w roku 2006 przekroczyć 500 (536) mld USD. Zważywszy, że stanowi to około 50% wydatków w skali globalnej, nietrudno wskazać na główne, choć nie jedyne źródło tej niepokojącej progresji. O globalnym bilansie militarnym decyduje Ameryka. Kolejni znaczący udziałowcy to: Chiny, Rosja, Japonia oraz dwa państwa europejskie – Francja i Wielka Brytania. Zwiększone wydatki każdego z nich można mniej lub bardziej przekonująco usprawiedliwić.

Chiny, choć w klasyfikacji SIPRI opartej na kryterium cen stałych zajmują wśród czołówek światowej piąte miejsce, nie bez kozery wymienia się zaraz po USA. Wydatki wojskowe tego kraju obliczane według parytetu siły nabywczej okazują się 4,5-krotnie wyższe i wtedy Chiny sytuują na miejscu drugim. Wydatki wojskowe Chin wzrosły w ostatnim dwudziestoleciu 2,5-krotnie, a budżet wojskowy od 15 lat zwiększa się co roku o około 10%. Tak wysoka dynamika jest przede wszystkim funkcją wzrostu gospodarczego; od kilku lat PKB tego państwa przyrasta corocznie o 7,5–9,5%. Wydatki obronne wpisują się też w mechanizm zagospodarowywania wysokiej nadwyżki budżetowej, przeciwdziałania możliwemu „przeegrzaniu” gospodarki. Zwiększanie chińskich wydatków wiąże się silnie z potrzebą odrabiania dużego dystansu w zakresie uzbrojenia i wyposażenia sił zbrojnych. Zapóźnienia są tak duże, że spodziewany w wyniku modernizacji przyrost potencjału może stanowić wiarygodne zagrożenie dla nowoczesnych (amerykańskich) sił operujących w tym regionie w raczej odległej perspektywie. Trzeba też zauważyć, że Chiny są jedynym członkiem Rady Bezpieczeństwa, który konsekwentnie rozwija swój potencjał nuklearny zarówno w wymiarze ilościowym, jak i jakościowym. Nie sposób nie dostrzec ich poczynąń w kosmosie. Cierpliwi Chińczycy krok po kroku budują swoją potęgę. Nikt chyba dziś nie ma wątpliwości, że na naszych oczach powstaje mocarstwo – też w sensie militarnym.

Rosja – po głębokim regresie w latach 90., od 1999 roku zdecydowanie nadrabia utracony dystans. Realny przyrost wydatków wojskowych wynosi od tej pory 7–10% rocznie. Procentowy udział wydatków na ten cel w budżecie państwa jest dwukrotnie wyższy niż (średni) w NATO. Na to Rosja chce i może sobie pozwolić. Uwzględniając wagę, jaką tradycyjnie w polityce rosyjskiej przywiązuje się do siły jako wyznacznika pozycji w świecie, a także jej realne potrzeby bezpieczeństwa, można przyjąć, że będzie to znaczący udziałowiec we wzroście światowych zbrojeń.

W światowej czołówce plasują się dwa państwa europejskie: **Francja i Wielka Brytania**. W obu dynamika przyrostu wydatków obronnych w pierwszych latach bieżącego wieku sięgała nawet 10%. Nie musi to jednak oznaczać ścigania się w zbrojeniach. To w istocie koszt transformacji sił zbrojnych. Wielka Brytania i Francja są jedynymi oprócz Stanów Zjednoczonych państwami zdolnymi do projekcji siły na duże odległości. To natowscy sojusznicy, którzy najwyraźniej zareagowali na zachęty USA do podnoszenia zdolności bojowej, do likwidacji luki w zdolnościach uniemożliwiającej efektywne prowadzenie wspólnych z Amerykanami operacji.

Wydatki obronne **Japonii**, choć plasują ją w rankingu światowym na wysokim, nawet pierwszym za USA miejscu, stanowią zaledwie 1% PKB. Japonia dopiero od niedawna buduje, i to w tempie raczej umiarkowanym, nowoczesne siły zbrojne. Po kilkudziesięcioletniej demilitaryzacji następuje tu „remilitaryzacja” państwa. W remilitaryzującej się Japonii funkcjonuje niedawno utworzony sztab sił zbrojnych, a od stycznia 2007 roku ministerstwo obrony. Odbudowa siły militarnej Japonii może leżeć w interesie Stanów Zjednoczonych. Ameryka coraz bardziej będzie potrzebowała dobrego, silnego sojusznika w tym regionie dla równoważenia wyrastającej potęgi Chin. Nie powinien zatem z tego choćby powodu zaskakiwać dalszy wzrost zbrojeń Japonii.

Indie – traktowane w kategorii wyłaniającego się mocarstwa – w ostatnich latach wyraźnie zwiększają swój budżet obronny. Mimo pewnego przyspieszenia wydatki wojskowe pozostają tam wciąż na niewysokim poziomie; wynoszą niewiele ponad 20 mld USD. Nie należy wykluczać tego, że w niedalekiej przyszłości Indie staną się znacznie bardziej liczącym kontrybutorem światowych zbrojeń. Skłania je ku temu rywalizacja z Chinami.

Rywalizacja militarna „w ogóle” dekomponuje się na kilka sfer, kilka aren odpowiadających – w żargonie wojskowym – środowiskom walki. W ujęciu klasycznym jest to rywalizacja: na lądzie, na morzu i w powietrzu. Za czwartą sferę, tzw. czwarty wymiar, uznano już w czasach zimnej wojny kosmos. Współcześnie dochodzi piąta – infosfera. W trzech z tych pięciu sfer/aren dominują Stany Zjednoczone; posiadają dziś absolutną przewagę na morzu, w przestrzeni powietrznej i w kosmosie. Chociaż jednak dysponują ogromnym potencjałem militarnym, nie osiągają jednak doktrynalnej pełnej dominacji (*full spectrum dominance*). Mimo doskonałego wyposażenia, pełnej profesjonalizacji armii; mimo RMA (rewolucji w sferze wojskowej), zastosowania najnowszych technik i technologii, digitalizacji, sieciocentryczności itp., nie osiągają pożądanej przewagi na lądzie.

Ważną areną zimnowojennego wyścigu zbrojeń był **kosmos**. Najbardziej spektakularnym jego wyrazem – koncepcja „gwiazdnych wojen”, z różnych względów zarzucona. Wiele wskazuje na to, że zrezygnowano z niej jedynie na pewien czas. Nowy impuls do rywalizacji w kosmosie może wnieść wspomniana już nowa doktryna polityki kosmicznej USA. Na wykorzystanie kosmosu dla działalności militarnej naciskają wojskowi, według których militaryzacja tej sfery mogłaby umożliwić prowadzenie wojen „bezkontaktowych”, ziszczenie idei wojen uwolnionych od clausewitzowskiego „tarcia”. Coraz poważniejszym uczestnikiem rywalizacji

w kosmosie, też militarnej, stają się Chiny. Jako trzecie państwo po USA i ZSRR dokonały w tym roku zestrzelenia satelity. W reakcji na to zdarzenie Indie ogłosiły zamiar utworzenia dowództwa wojsk kosmicznych i gotowość do rozpoczęcia prób z bronią w przestrzeni kosmicznej. Aspiracje do ulokowania się w kosmosie wyraża Iran, który planuje także wystrzelenie własnego satelity. Ryzyko wyścigu kosmicznych zbrojeń, obecnie wciąż jeszcze niewielkie, może niebawem stać się realne.

Siły morskie Stanów Zjednoczonych, które swoją potęgą przewyższają łączny potencjał wszystkich pozostałych flot świata, w pełni kontrolują wszystkie oceany. W ich cieniu swoje ambitne koncepcje realizują Chiny. Zaczęły one wykorzystywać w celach militarnych rafy Morza Południowocchińskiego, wkraczając w obszary wpływów m.in. Wietnamu i Filipin. Zgodnie z dalekosiężnymi planami, flota chińska ma do roku 2020 wyjść na wody otwarte, czyli osiągnąć rubież: Aleuty, Mariany, Karoliny, wody terytorialne Australii, a do roku 2050 uzyskać zdolność do działań w skali globalnej.

Rywalizacja w zbrojeniach to także odwieczny **wyścig „tarczy i miecza”**, cykle tworzenia nowych, coraz doskonalszych rodzajów broni i przeciwbroni. Znany nie tylko wojskowym jest wciąż trwający wyścig pancerza i broni przeciwpancernej, samolotu i broni przeciwlotniczej. Dziś elementem napędzającym w tym kontredansie broni i przeciwbroni staje się amerykańska „tarcza”, system obrony przeciwrakietowej. Reakcja rywali nie ograniczy się zapewne do werbalnych wystąpień.

Oceniając stan zbrojeń na początku XXI wieku, trzeba zauważyć, że arsenały zarówno broni jądrowej, jak i konwencjonalnej nie pęcznieją. Globalna liczba głowic jądrowych maleje, nie ulega zwiększeniu ich moc. Tej prostej informacji nie można jednak w żadnym razie traktować w kategorii dobrej wiadomości. Dwaj mocarze nuklearni – Stany Zjednoczone i Rosja – wciąż dysponują irracjonalną nadwyżką głowic jądrowych. Rosnąca przewaga jakościowa środków przenoszenia, a przede wszystkim systemów obrony przeciwrakietowej Stanów Zjednoczonych sprawia, że przestaje działać logika wzajemnego gwarantowanego zniszczenia; Ameryka zbliża się do stanu umożliwiającego jej „bezkarność” w stosowaniu siły, w tym broni jądrowej. Znana nam rywalizacja (wyścig) w zakresie zbrojeń jądrowych ustała. Jej miejsce zajmuje niebezpieczeństwo niekontrolowanej proliferacji.

W sensie fizycznym kurczą się w dalszym ciągu arsenały z bronią konwencjonalną. Wciąż jeszcze do zutilizowania pozostają góry pozimnowojennego już na poły złomu. Utylizacja amunicji i uzbrojenia w niektórych krajach (np. na Ukrainie) stanowi istotny problem. To fizyczne zmniejszanie się ilości uzbrojenia wynikało z dwóch powodów: pozimnowojennego rozbrojenia oraz postępu technicznego. W dobie skokowego postępu w dziedzinie technologii gromadzenie wielkich ilości uzbrojenia staje się anachronizmem. Miejsce wagonów amunicji zajmują dziś pojedyncze egzemplarze systemów precyzyjnego rażenia.

Zbrojenia jako podstawowy element szykowania się do wojny, nawet w imię pokoju (*si vis pacem...*), były w historii czymś zwyczajnym, czymś normalnym. W tej „normalności” jednak od dawna wielu myślicieli dostrzegało niebezpieczeństwo. Jak pisał w swoim projekcie umowy społecznej Jeremy Bentham, „zbrojenia zawsze prowadzą do wojen”. Dowodził on, że im szybciej postępują i im intensywniejsze

są zbrojenia, tym większe jest ryzyko wybuchu wojen. Pogląd ten poddawał się pozytywnej weryfikacji do pewnego czasu. Pierwszą poprawkę wniosło pojawienie się broni jądrowej; drugą trzeba było wnieść wraz z pojawieniem się jakościowo nowego wyścigu zbrojeń.

Wyścig zbrojeń z okresu zimnej wojny był zjawiskiem w historii nieznanym. W tym wyścigu czasem bardziej niż o szykowanie się do wojny chodziło o uzyskanie efektu odstraszenia/zastraszenia; jego istotą była megapsychologiczna gra. Wyniszczająca spirala zbrojeń stanowiła swoisty substytut pól bitew. Zbrojenia same w sobie stawały się autonomiczną areną walki. Wyścig wpisywał się w strategię.

O renesansie tej odmiany wyścigu zbrojeń, nawet jeśli dostrzega się jego symptomy, nie sposób dziś mówić. Trudno też przyjmować, że obecna dynamika wydatków wojskowych pozwala twierdzić, iż z globalnym wyścigiem już mamy do czynienia. Przede wszystkim dlatego, że do wyścigu potrzeba kilku – co najmniej dwóch – porównywalnych konkurentów. Przy obecnej przewadze Stanów Zjednoczonych nie ma obecnie państwa ani grupy państw będących w stanie podjąć rywalizację. Choć spostrzeżenie to jest aktualne dziś, sytuacja może się oczywiście zmienić. Mimo nieosiągalnego dziś dla „nie-Ameryki” pułapu, naturalna będzie dążność rywali, by się do niego zbliżyć. Widoczna dziś w niektórych regionach rywalizacja w dziedzinie zbrojeń nie jest wciąż na tyle ostra, by traktować ją w kategoriach wyścigu. Symptomów wyścigów regionalnych jednak nie sposób nie dostrzec. Istnieją jednakże pewne podstawy pozwalające snuć wnioski o możliwym przesileniu. Tempo wzrostu wydatków wojskowych w skali globalnej może w najbliższych latach się obniżyć – za sprawą USA, których planowany budżet obronny na 2007 rok ma być o prawie 10 mld USD (ok. 2%) niższy niż w roku poprzednim. Czy to oznacza zapowiedź przesilenia?

„**Armia światowa**” liczyła w roku 2006 niecałe 20 mln żołnierzy, tj. o ponad 7 mln mniej niż w okresie zimnej wojny. Pułap powojennych redukcji został osiągnięty już w drugiej połowie lat 90. Dalsze, już bardzo umiarkowane obniżanie liczebności wojska to skutek tendencji przechodzenia od armii z poboru do armii zawodowych. To też skutek dokonującej się w siłach zbrojnych głębokiej transformacji, zmian o charakterze niekiedy rewolucyjnym. Profesjonalne, nowoczesne armie stawały się z wielu względów mniej liczne. Obniżanie liczebności wojsk idące w parze z ich modernizacją, przebrojeniem, nie oznaczało w żadnym wypadku ich osłabienia, a z reguły wręcz odwrotnie. Liczebność armii w ostatnich latach stabilizuje się. Osiągnięta, a nawet przekroczona została granica redukcji wojsk w związku z ich przeobrażaniem. Oczekiwania entuzjastów tzw. rewolucji w sferze wojskowości (RMA – *Revolution in Military Affairs*) w zderzeniu z realiami m.in. Iraku i Afganistanu okazały się nadmierne. Armie nadal potrzebują „siły żywej”, której nie są w stanie zastąpić wyrafinowane technicznie urządzenia. W Stanach Zjednoczonych, kolebce RMA, przewiduje się zwiększenie liczebności wojsk lądowych o 30 tys.

W ogólnym bilansie wojskowym uwzględniać trzeba też niepaństwowe grupy zbrojne. Skupiają one w skali globalnej – jak podaje się w „Military Balance” – około 600–710 tys. osób. To liczba niemała, stanowiąca kilkanaście procent „światowej

armii”. Ten gatunek sił zbrojnych traktować trzeba bardziej niż dotąd jako szczególnie niebezpieczny, eksplozywny potencjał destabilizacji. Jest to siła bardziej niż w ubiegłym wieku zanarchizowana; wręcz zdziczała w działaniach. Niepaństwowe grupy zbrojne zaludniają przede wszystkim Afrykę, Azję Centralną oraz Azję Południowo-Wschodnią; najliczniej państwa bezrządne.

W nowym środowisku bezpieczeństwa zmienia się **rola czynnika militarnego w definiowaniu potęgi państwa**. Nadal jednak posiadanie broni jądrowej pozostaje szczególnym atrybutem mocarstwowości. Redefinicji – i to zdecydowanej, podlega kategoria „zdolności wojskowych” oraz „potęgi militarnej”. Zmienia się hierarchia ważności elementów konstytutywnych siły militarnej. Elementami pierwszoplanowymi stają się zdolności ekspedycyjne, co przekłada się na zdolność do tzw. projekcji siły; wykorzystanie i stosowanie nowych technologii; interoperacyjność do operacji wielonarodowych, co wszystko razem oznacza poziom transformacji sił zbrojnych. W rywalizacji jakościowej współczesnych armii te właśnie cechy nabierają coraz większego znaczenia. W nieformalnym rankingu nowoczesnych wojsk za siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych plasują się wojska Francji i Wielkiej Brytanii, jako jedyne zdolne do szybkiej projekcji siły do ekspedycji na duże odległości. W kategorii wyrastających mocarstw militarnych postrzegać można Japonię i Chiny; niekiedy lokuje się w tej kategorii także Indie. Rosja to nie tyle wyrastające, ile powracające mocarstwo militarne.

O znaczeniu siły w stosunkach międzynarodowych stanowi nie tylko (czy nie zupełnie) gromadzony jej potencjał, lecz także jej pośrednie i bezpośrednie stosowanie. Jako jedną z metod pośredniego użycia sił zbrojnych uznaje się tworzenie i utrzymywanie **baz wojskowych** poza terytorium macierzystego państwa. Bazy, obecność wojskowa, to w czasach nowożytnych dość powszechna metoda umacniania swej potęgi, zabezpieczania swoich interesów. Bazy czy garnizony stanowiły zawsze szczególnie atrybut władztwa, zwłaszcza mocarstwowej pozycji. Bezprecedensowa ekspansja w postaci dyslokowania wojsk poza własne terytoria nastąpiła w okresie zimnej wojny. Swoje bazy miały w tym czasie praktycznie cztery państwa: Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja. Z początkiem lat 90. Związek Radziecki zredukował swój personel dyslokowany poza granicami kraju o ponad 90%; pozostałe trzy państwa o około 50–60%.

Obecnie najwięcej baz i najwięcej żołnierzy poza własnym terytorium posiadają Stany Zjednoczone. Łączna liczba personelu przebywającego na stałe lub tymczasowo poza USA wynosi około 400 tys., czyli prawie 27% stanu ogólnego sił zbrojnych. Według oficjalnych danych Departamentu Obrony amerykańscy żołnierze w 2005 roku stacjonowali w 843 instalacjach wojskowych (w tym w 80 tzw. głównych bazach wojskowych) w 44 krajach i terytoriach. Rozmieszczenie amerykańskich baz, ukształtowane w latach 60. minionego wieku, nie uległo istotnej zmianie. Od 2001 roku prowadzi się prace nad ich rekonfiguracją i restrukturyzacją; wyraźnie przyśpieszyły one w roku 2003. Poważne zmiany mają nastąpić w Europie, część sił rozlokowanych w Niemczech ma być bowiem przesunięta do Rumunii lub Bułgarii. W Azji przewiduje się rozbudowę istniejących baz na Guam oraz Diego Garcia, założenie nowych baz w Malezji, Singapurze i na Filipinach. Obszarem wzmocnionej

obecności wojskowej ma pozostać Azja Środkowa. Kształtująca się nowa konfiguracja baz amerykańskich w Azji odpowiadać ma walce/wojnie z terroryzmem, ale chyba w jeszcze większym stopniu szachowaniu Iranu oraz Chin. Ograniczony kontyngent wojsk rozmieszczony w Dżibuti może być sygnałem świadczącym o zamiarze USA zainstalowania się militarnie w Afryce. Te fakty pozwalają stwierdzić, że znaczenie baz wojskowych w polityce/geopolityce amerykańskiej od ponad pół wieku niewiele się zmienia. Opinia profesora A. Bacevicha, że obecność Ameryki w świecie jest rozumiana w samej Ameryce przede wszystkim jako obecność militarna, jest tu zapewne adekwatna.

Około 20 tys. żołnierzy, czyli niecałe 2% stanu sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej, przebywa obecnie poza terytorium macierzystym. Rosyjskie bazy rozmieszczone są w byłych republikach radzieckich: na Ukrainie (Sewastopol), w Naddniestrzu, Gruzji, Armenii, Kirgistanie i Tadżykistanie. Rosyjskie elementy obrony powietrznej rozlokowane są na Białorusi. Jakkolwiek gaz i ropa stają się ostatnio podstawowym instrumentem siły/nacisku w polityce Rosji wobec byłych republik radzieckich, to obecność wojskowa, choć obecnie raczej ograniczona, ma w niej znaczenie istotne. Rosja podejmuje wysiłki zmierzające do utrzymania i rozszerzania swojej obecności wojskowej; w rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi w Azji Środkowej odnosi zauważalny sukces. W geopolitycznej ideologii Rosji dominuje przekonanie, że opuszczone przez jej wojska miejsca zostaną niezwłocznie zajęte przez wojska innego mocarstwa. Bazy wojskowe chroniące interesy państwa macierzystego zwykle służą korzystnej dla niego stabilizacji. Z niektórymi rosyjskimi bazami rzecz ma się trochę inaczej. Trudno przypisać funkcję *stricto* stabilizującą wojskom rozmieszczonym w Naddniestrzu czy w separatystycznych republikach Abchazji i Południowej Osetii na Kaukazie.

Przywiązanie do dawnych swoich baz wykazują dwa byłe mocarstwa kolonialne, dwaj członkowie Rady Bezpieczeństwa – Francja i Wielka Brytania. Poza obszarem metropolitalnym Francji przebywa około 26 tys. żołnierzy, co stanowi nieco ponad 10% stanu sił zbrojnych. Bazy francuskie rozmieszczone są na terytoriach zależnych oraz w byłych posiadłościach kolonialnych. W Niemczech stacjonuje francuska część Eurokorpusu.

Poza Wyspami Brytyjskimi służbę odbywa ponad 40 tys. żołnierzy, czyli ponad 20% stanu ogólnego. To odsetek porównywalny ze standardem amerykańskim. Brytyjczycy w tym względzie pozostają wierni swojej kulturze strategicznej. W okresie zimnej wojny Wielka Brytania poza granicami kraju utrzymywała prawie 30% swoich wojsk. Ten procent był jeszcze wyższy w czasach, gdy Brytania była kolonialnym imperium. Podobnie jak w przypadku Francji, bazy brytyjskie rozlokowane są głównie w obecnych i byłych terytoriach zależnych.

Mimo wielkiej zmiany ładu międzynarodowego, postępującej globalizacji oraz wzrastających możliwości przerzutu wojsk na duże odległości, zaskakująco powoli zmienia się znaczenie baz wojskowych. Państwa w swoich strategiach i koncepcjach strategiczno-operacyjnych wciąż przywiązują do nich dużą wagę. Po wielkim odwole z baz, przede wszystkim wojsk radzieckich oraz w mniejszej skali amerykańskich, jaki obserwowano na początku lat 90., kolejnych redukcji nie ma. Bazy

wojskowe na początku XXI wieku nie stały się przeżytkiem; zachowują one zaskakująco istotne znaczenie zarówno w wymiarze symbolicznym, jak i strategicznym.

Użycie siły zbrojnej zgodnie z jej klasycznym przeznaczeniem oznacza zazwyczaj wojnę, konflikt zbrojny poniżej progu wojny, interwencję zbrojną. Według statystyk (i kryteriów) SIPRI obecnie mamy do czynienia z 17 większymi konfliktami zbrojnymi w świecie. Wszystkie zalicza się do kategorii konfliktów wewnątrzpaństwowych. To wskaźnik rekordowo niski. Tendencja jest tu wyraźna – od 1991 roku liczba konfliktów zbrojnych systematycznie maleje; w ciągu 15 lat spadła z 31 do 17 w roku 2005.

Najbardziej czytelnym wyznacznikiem roli siły militarnej w środowisku międzynarodowym były wojny między państwami i grupami państw – wojny między państwowe. W okresie po zimnej wojnie było ich cztery, przy czym dwie miały charakter lokalny. Czy na podstawie tych liczb można stawiać hipotezę o zaniku wojen międzypaństwowych? Chyba jednak nie. Trzeba natomiast zgodzić się z opinią Romana Kuźniara, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat, jeśli przyjmujemy za kryterium zapisy Karty Narodów Zjednoczonych, mamy do czynienia z zanikiem wojen w sensie klasycznym.

Wszystkie pozimnowojenne konflikty zbrojne (wojny) o dużym rozmachu z udziałem Zachodu (Irak – 1991, Jugosławia – 1999, Afganistan – 2001, Irak – 2003) miały charakter ekspedycji. W każdym z nich wojska państw Zachodu tworzyły koalicje asymetryczne zarówno pod względem liczebności ich uczestników, jak i pod względem ich realnej siły. Wiodąca rola, i to w każdym wymiarze, przypadała Amerykanom. Statystyki pokazują, że przodują oni w bezpośrednim stosowaniu siły. W latach 1989–2003 Stany Zjednoczone interweniowały zbrojnie aż dziewięć razy: w Panamie (1989), Somalii (1992), Haiti (1994), Bośni (1995–1996), Jugosławii (1999), Afganistanie (2001) oraz w Iraku (1991, 1998, 2003). Daje to średnio jedną znaczącą operację na 19 miesięcy. To aktywność wyraźnie wyższa niż w okresie zimnej wojny. Należy zauważyć, że nie miało tu większego znaczenia, kto w USA sprawował władzę.

Tak jak w okresie zimnej wojny, również współcześnie wewnątrzpaństwowe konflikty wewnętrzne, choć z innych zgoła względów, nie pozostają jedynie kwestią wewnętrzną. W czasie minionym towarzyszyło im wysokie ryzyko przerodzenia się w wojnę o większej skali. Swoistą normą w tych konfliktach było mniej lub bardziej jawne poparcie dla walczących stron ze strony rywalizujących ze sobą mocarstw. Współcześnie mamy do czynienia z tendencją wyraźnie odmienną – dążnością społeczności międzynarodowej do lokalizacji tego typu konfliktów. Znaczna ich liczba ulega umiędzynarodowieniu. W wymiarze wojskowym oznacza to interwencję w postaci operacji pokojowej lub operacji zbrojnej.

Użycie siły zbrojnej zawsze wymagało nie tylko politycznego, lecz także moralnego i prawnego uzasadnienia. Przez wieki trwała debata nad formułą wojny sprawiedliwej, nad określeniem warunków uzasadnionego użycia siły. Jeszcze kilkanaście lat temu można było uznawać zarówno stan teorii wojny sprawiedliwej (uzasadnionego użycia siły), jak i praktyki (prawa) za odpowiedni do oczekiwań i potrzeb. Dziś powiada się, że teoria oraz prawo międzynarodowe nie nadążają za

gwałtownie zmieniającym się środowiskiem bezpieczeństwa. W istocie w sferze teorii, refleksji, we współczesnej debacie właściwie nieobecny jest termin „wojna sprawiedliwa”. To w jakiś sposób zrozumieliśmy, wtedy gdy siły używa się nie tyle w klasycznych wojnach, lecz w różnorodnych interwencjach zbrojnych. Ogólnie co do potrzeby interweniowania w pewnych okolicznościach, szczególnie zaś ze względów humanitarnych, nie ma większych kontrowersji. Wątpliwe są natomiast ramy prawne takich działań. Destrukcyjną w dorobku teorii i tkanki prawa międzynarodowego powoduje doktryna prewencji, prewencji bez hamulców.



Powojenny – pozimnowojenny okres zmęczenia siłą, odreagowania na jej nadmierną obecność minął mniej więcej dziesięć lat temu. Do powrotu siły w stosunkach międzynarodowych zdążyliśmy się przyzwyczaić. Można to nawet nazwać powrotem do normalności. W tym powrocie jednak zmusza do zastanowienia jego dynamika, fakt, że można czasem mówić o powrocie triumfalnym. Niepokoić powinny pojawiające się symptomy i przesłanki wyścigu zbrojeń. Coroczny przyrost wydatków na zbrojenia w skali globalnej przekracza ostatnio wskaźniki z czasów zimnej wojny. Ożywił się klasyczny wyścig „tarczy i miecza”, przy wydatnych zasługach – *nomen omen* – amerykańskiej tarczy przeciwrakietowej. Ożywia się konkurencja w kosmosie; wzrasta ryzyko jego militaryzacji. W posiadanie broni jądrowej wchodzi kolejne państwa, wiele innych do jej posiadania ciszej lub głośniejszej aspiruje. Regionalna konkurencja w dziedzinie zbrojeń może przerodzić się w regionalne wyścigi zbrojeń. Nie da się ukryć zastoju, by nie rzec uwiędnięcia kontroli zbrojeń i rozbrownienia.

Nieco idealizujący optymista dostrzeże w dzisiejszej militarnej i okołomilitarnej rzeczywistości symptomy przesilenia. Można i powinno się je widzieć w Iraku. Irak pokazuje myślącym granice tego, co da się osiągnąć siłą, ujawnia granice potęgi militarnej. Być może bolesna lekcja, jaką dziś odbierają Amerykanie, wyleczy ich zauroczenie własną potęgą wojskową silną od czasu wojny w Zatoce. Planowany na rok 2007 budżet obrony USA jest po raz pierwszy od kilkunastu lat niższy niż w roku poprzednim.